Świat powieściowy.

Nr. 111 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XI.

Omdlenie i osłabienie, w jakie baronowa de Planche-Mibray popadła po odejściu Munita, trwało przeszło godzinę.

Przez ten czas, miała widzenia dziwne i straszne.

Mając oczy otwarte, śniła.

Widziała się tańczącą na sznurze, okrytą blaszkami i uderzała kastanietami w takt muzyki.

Starzec jakiś patrzył na nią z zachwyceniem.

Byłto Fanfreluche, galernik.

Drugi jakiś wpatrywał się w nią także oczami palącemi; byłto Munito.

Munito, który został jej narzeczonym i mówił jej o miłości.

Potem scena zmieniła się nagle.

Była znów baronową i wdową, przebywała w zamku de Planche-Mibray.

Żałoba jej się kończyła, i miała zostać drugi raz żoną. Żoną Manuela de Maugeville. I wszyscy z całej Burgundji uśmiechali się szepcąc:

— Co za para dobrana!

I stary zamek był ustrojony, wszyscy sąsiedzi i przyjaciele Maugeville'ów i rodziny de Planche-Mibray byli zebrani na zaręczynach, stoły pozastawiane, a wino lało się strumieniami.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem; człowiek jakiś wszedł...

Byłto starzec, odziany w nędzny ubiór galernika, z łańcuchem u nóg, a z pod czapeczki zielonej wyglądały białe włosy. Człowiek ten wszedł z przekleństwem na ustach, zbliżył się do baronowej przerażonej, a obrzuciwszy wzrokiem nienawiści pana de Maugeville, zawołał:

— Ja nie pozwolę! ja!

Potem kładąc rękę na ramieniu baronowej, dodał:

— To moja córka!

Za dotknięciem galernika baronowa krzyknęła i rzuciła się tak gwałtownie, że marzenie uleciało i z zemdlenia ocknęła się nagle.

Była sama, w nocy, w tym wielkim, smutnym ogrodzie, który ciągnął się za pałacem.

Przypomniała sobie dokładnie niedawno zaszłą scenę, i zdawało się jej, że jeszcze słyszy głos rozkazujący i ironiczny cygana.

Przestraszona pobiegła do furtki, którą cygan odchodząc zapomniał zamknąć.

Zapomniał nawet zabrać klucz, który mu dał pan de Villenave.

Pani de Planche-Mibray zamknęła furtkę i zabrała klucz z sobą.

Potem, jakby w gorączce, z głową rozpaloną, na pół tylko przytomna, wróciła do pałacu.

Baronowa wychowana była skromnie. Będąc na pensji, zawsze ubierała się i rozbierała sama.

Wyszedłszy zamąż nie zmieniła tego zwyczaju.

Pokojowa jej miała nakaz położyć się i nie czekać, gdyby jej pani przedłużyła przechadzkę w ogrodzie.

I temu to zwyczajowi zawdzięczała, że nikt jej nie widział w ogrodzie z cyganem, i powróciła do pałacu nie napotkawszy nikogo.

Lampa świeciła się jeszcze na kurytarzu, i druga stała na stole w wielkim salonie.

Pani de Planche-Mibray weszła do tego obszernego salonu, tchnącego starożytnością, w którym wisiały portrety wszystkich przodków nieboszczyka jej męża.

Wszyscy de Planche-Mibray zmarli, od urzędnika w długiej todze aż do lśniących muszkieterów wieku ostatniego, wszyscy tam byli niemi i surowi w ramach przyczerniałych.

Baronowa patrzyła na nich wzrokiem nieprzytomnym, i zdawało się jej, że wszyscy na nią patrzą z oburzeniem i zdają się mówić:

— Cyganko! idź precz!

I przestraszona, nieprzytomna, zwróciła swój wzrok obłąkany na portret ostatniego, na barona de Planche Mibray, swego małżonka.

I uklękła przed tą ukochaną twarzą i złożyła ręce.

Baron był ubrany w uniform czerwony strzelców Burgundji. Twarz jego szlachetna i piękna była uśmiechnięta. Malarz umiał wlać życie w oczy portretu, które zdawały się zwrócone na baronowę.

— O przyjacielu, mężu mój — szeptała — ty, któryś mię kochał, który byłeś mi ojcem, którego czczę i uwielbiam, czy nie ulitujesz się nad biedną, nie wspomożesz twą radą?... Czyż głos mój błagający nie doleci do ciebie, do tego świata umarłych, w którym żyjesz? Dałeś twe imię biednej cygance, a teraz nie opiekowałżeż byś się nią dalej?

I płacząc rzewnemi łzami, wpatrywała się ciągle w portret.

I nagle zdawało się jej, że portret ten ożył, że oczy błyszczały inaczej i patrzyły w inną stronę.

Baron nie patrzył już na nią.

Wzrok jego zdawał się skierowany na maleńką komódkę, stojącą w kącie salonu.

Baronowa była jakby w natchnieniu, i wierzyła tak silnie w tej chwili w władzę pozagrobową swego małżonka, że widząc wzrok jego skierowany na komódkę, była przekonaną, że tam musi się znajdować jakiś papier, list, lub dokument jakikolwiek, pochodzący od nieboszczyka jej męża, który ją objaśni, który ją wyrwie z tego koła niepewności, wśród którego daremnie się błąkała.

Komódka ta była meblem familijnym.

Baron, zmieniając meble w swoim pałacu przed sześciu laty, komódkę tę zostawił jako ulubiony mebel zmarłej swej ciotki.

Pani de Planche-Mibray drżąc otworzyła tę komódkę.

Przewróciła wszystkie szuflady i przegródki, ale nadaremnie; wszystko było puste.

Westchnęła zawiedziona i spojrzała znowu na portret.

Wzrok barona był ciągle zwrócony w to samo miejsce.

Baronowa rozdrażniona i rozgorączkowana zaczęła raz jeszcze wysuwać szuflady i oglądać je na wszystkie strony.

Nagle uczuła pod ręką jakąś wypukłość.

Było to coś w rodzaju guzika blaszanego.

Przycisnęła palcem, sprężyna odskoczyła, i otworzyła się szuflada z podwójnem dnem.

I w istocie, nadzieja baronowej nie zawiodła; ujrzała zwitek papierów, który zaraz chwyciła chciwie.

Byłto rękopis, składający się z kilku stron, a baronowa poznawała w tej chwili pismo wyraźne i czytelne swego męża.

Rękopis ten był rodzajem dziennika, pisanym od czasu do czasu.

Na pierwszej stronie czytała:

„Stało się. Ona chce być moją, a ja nie mam siły jej odmówić. O słabości ludzka! Mam lat czterdzieści sześć, a ona zaledwie szesnaście.

„Będę wkrótce starcem, a ona nie jest jeszcze skończoną kobietą!

„Nie chcę nikogo innego za męża, tylko ciebie mój ojczulku, rzekła do mnie nie dawno, rzuciwszy mi się na szyję.

„Czyż mam ją poślubić?

„Zadaję sobie od wczoraj to pytanie, i kiedy rozum mówi nie, serce bije gwałtownie jakbym miał lat dwadzieścia i woła tak“.

„16. września.

„Wszystko się skończyło. Już jest moją żoną. Jutro jedziemy do Włoch.

„Ona jest szczęśliwą, a ja chyba... szalony!...

„Musiałem jednak przed nią skłamać, stworzyć jej jakąś rodzinę, mówiąc, że byłem jej krewnym dalekim.

„Bo czyż mogę jej powiedzieć, że jest córką cyganki i mego nieszczęśliwego przyjaciela Gastona de Maugeville?“...

Dotąd baronowa gorączkowo i niespokojnie pożerała raczej, a nie czytała tę spowiedź nieboszczyka, ale doszedłszy do tych słów: „córką cyganki i mego nieszczęśliwego przyjaciela Gastona de Maugeville“, krzyknęła gwałtownie i rękopis wyleciał jej z ręki.

Więc nie była córką kuglarza Fanfreluche, córką galernika?!...

Człowiek, który się splamił krwią jej matki, był jej zupełnie obcym!

I uklękła znowu przed portretem barona szepcząc:

— O dzięki ci! dzięki!

Ale oko barona już nie błyszczało; widzenie przeszło . . .

. . . .

Baronowa nie położyła się już spać tej nocy.

Pokojowa, wszedłszy rano, była bardzo zdziwiona, zastawszy ją siedzącą przy biurku i piszącą.

Pisała do Manuela de Maugeville. Bo nie dość jej było teraz wiedzieć, że nie była córką kuglarza.

Jeżeli Munito śmiał przyjść do niej i mówić w ten sposób, więc widocznie wszyscy cyganie, z którymi spokrewnioną była przez matkę, mieli oczy zwrócone na nią.

Więc może i galernik myślał o upomnieniu się o prawa do tej, którą uważał za swą córkę?

Wszak i Munito mógł raz jeszcze powrócić mówiąc:

— Należysz do nas, i musisz być naszą!

Baronowa czuła, że potrzebuje gwałtownie jakiegoś opiekuna.

A gdzież go szukać?

Pan de Planche-Mibray miał tylko jednego krewnego, siostrzeńca swego, Leona de Villenave.

Ale w pamiętnikach niedokończonych, które baronowej odkryły jej prawdziwe pochodzenie, baron tak się wyrażał o swym siostrzeńcu:

„Leon jest człowiekiem podłym, bez charakteru. Rachował on na mój majątek, a ten go ominął. Jest on zdolnym do wszystkiego, nawet do zamordowania mnie.

„Na szczęście żyjemy długo w naszym rodzie, a ja jestem dotychczas zdrów i silny, lecz gdyby jakie nieszczęście mię spotkało, gdybym umarł, drżę na myśl niebezpieczeństw i niegodziwości, na jakie narażona

by była moja żona ze strony tego człowieka".

Gdyby nawet pani de Planche-Mibray nie wyczytała była tego w pamiętnikach swego męża, nie udała by się była o opiekę do pana de Villenave, z powodu antypatji, jaką miała do niego.

Kogoż więc miała prosić z opiekę i podporę? Serce jej odpowiedziało:

„Człowieka, którego teraz kochać możesz, który jest twym kuzynem, Manuela de Maugeville".

Więc prędko napisała:

„Kochany Manuelu.

„Przyjdź do mnie natychmiast. Mam pilny interes.

„Dziś wieczór opuszczam Paryż. Jadę do Planche-Mibray.

„Potrzebuję towarzysza podróży.

„Czy chcesz nim zostać?

„Proszę cię o to w imię przyjaźni, jaką miałeś dla barona.

„Czyżbyś mi odmówił?

Marta de Planche-Mibray".

I kazawszy zanieść ten list lokajowi, czekała niespokojna.

W godzinę potem pan Maugeville przyszedł.

Był bladym, a niepokój malował się na jego twarzy.

Baronowa kazała mu usiąść obok siebie i słuchać z uwagą.

Opowiedziała mu historję całego swego życia, wyznała pochodzenie, nie zataiła nawet widzenia się w nocy z cyganem, a w końcu wspomniała o swoich obawach i niespokojności.

Gdy skończyła, Manuel odrzekł śmiejąc się:

— Czy nie domyślasz się pani w tem czyjej innej intrygi, a nie cygana?

Przestraszona spojrzała na niego.

— Czy wiesz pani — mówił dalej Manuel — że jest na świecie człowiek, który sobie przysiągł, iż musisz należyć do niego?

— A tym człowiekiem?

— Jest Leon de Villenave.

Baronowa podniosła się dumnie, i uśmiechnęła pogardliwie.

— Czy tak? — odrzekła. — O! gdy skończy się moja żałoba, przekonam pana de Villenave, że nie zawsze dobrze przysięgać... nieprawdaż mój przyjacielu?

Mówiąc to podała rękę panu de Maugeville.

Manuel ukląkł przed nią szepcząc:

— Och! gdybyś wiedziała droga Marto, jak bardzo cię kocham!...

XII.

Teraz powróćmy do Munita.

Pozostawiliśmy go w chwili, gdy siłą woli uwolnił się od uroku Sekwany, która nęciła go milcząca, ponura i głęboka.

Szybko przeszedł on most, potem plac Konkordji, i wszedł na ulicę Magdaleny, a przeszedłszy bulwar, poszedł ulicą Caumartin.

Była już druga po północy. Bulwar był prawie pusty, a na ulicy Caumartin nie było już nikogo.

Munito zawahał się chwilę, a potem poszedł szybko, ciągle w widocznem jakiemś rozdrażnieniu.

W połowie ulicy Caumartin, na lewo, wznosił się dom nowy, przed którym się zatrzymał.

Dom ten był właśnie naprzeciw tego, w którym mieszkała Paulina Régis.

Munito zadzwonił.

Ręka jego była niepewna i drżąca. Usłyszał tylko szmer druta lecz drzwi się nie otwierały.

Zadzwonił silniej z gorączkową niecierpliwością.

Drzwi się otwarły, a odźwierny rozespany zapytał go do kogo idzie.

— To ja — rzekł cygan.

— Co za ja?

— Brat pani Dolorés.

Odźwierny wpuścił go i w złym humorze położył się.

Ale idąc po wschodach, Munito słyszał, jak mówił do swojej żony:

— Wszyscy ci cyganie nie podobają mi się. Powiem gospodarzowi, aby im wypowiedział mieszkanie.

Munito ruszył ramionami i poszedł na trzecie piątro.

Jedne tylko były drzwi w sieni.

Munito nie dzwonił, lecz wyjął klucz z kieszeni i sam sobie drzwi otworzył.

Wszedł do obszernego przedpokoju, oświeconego lampką kolorową.

Z przedpokoju przeszedł do salonu, umeblowanego z przepychem błyskotliwym, w jakim się zwykle lubują kobiety lekkich obyczajów.

Tam także świeciła się lampka i rzucała naokoło światło bladawe.

Na końcu salonu były drzwi zamknięte i cygan zapukał dwa razy.

— Czy to ty? — odezwał się głos kobiecy.

— Ja — odrzekło i drzwi otworzył.

Munito wszedł do pokoju dziwnie przyozdobionego.

Rzekłbyś jaka pagoda indyjska, lub świątynia mauretańska.

Ściany i sufit pokryte były malowidłami dziwnemi, przedstawiającemi sceny z jakiejś religji tajemniczej i pewnie nieznanej w Paryżu.

Posadzka cała była zakryta dywanem o kolorach żywych i pstrokatych.

Za całe umeblowanie, maty, poduszki, a w rogu pokoju stało kilka fajek.

Na ścianie wisiał bębenek i kastaniety, a pod niemi gitara hiszpańska.

W pośrodku pokoju, na dywanie, z głową opartą na poduszkach, spoczywała pół leżąc kobieta olśniewającej piękności.

Czy porównywał kto kiedy owoc dojrzały z owocem zielonym? Kobietę rozkwitłą w całej piękności, z młodziutką panienką, jeszcze niedojrzałą i której kształty nie mają dostatecznej okrągłości i pulchności?

Niech co chcą mówią starcy przeżyci, kobieta, któ-

rej piękność najbardziej upaja, jak zapach wina mocnego, jest kobieta trzydziestoletnia.

Piękność pani de Plauche-Mibray byłaby przybladła przy piękności tej, do której wchodził Munito w tej chwili.

A jednakże był to ten sam typ wschodni, te same wielkie, piękne oczy, usta koralowe i wyzywające, ale typ ten już tak uderzający u baronowej, był jeszcze wydatniejszym u tej kobiety.

A potem nędza dawniejsza, używanie roskoszy, i znużenie późniejsze, przyćmiły ten wzrok, nie odbierając mu jednak demonicznego blasku.

Kobieta ta wzbudzała jakąś roskosz tajemniczą, upajała zmysły i rozpalała namiętność.

Gdy cygan wszedł, odjęła od ust łajkę.

Podniosła się. Wzrost i kibić miała prześliczną, jakby ulaną, a z pod sukni czarnej, aksamitnej, z sznurami ponsowemi, wyglądała mała, zgrabna nóżka.

Rozpuszczone włosy czarne, spadały w kruczych zwojach i okrywały jakby płaszczem na pół nagie ramiona.

Czyż była to ta sama mała dziewczynka, która tańczyła w Auxerre, w budzie jarmarcznej kuglarza Fanfreluche? Jeżeli to ona, cóż znaczył ten przepych dziwny, który ją otaczał?

Dolorés, było to jej imię, zbudziła się pewnego rana, znużona nędzą, chciwa roskoszy i złota.

Miała wtedy lat dwadzieścia, a w sercu miłość zpopielałą.

Kochała człowieka z swego rodu, który ją bił przez cały przeciąg wspólnej miłości, a potem porzucił dla innej.

Pewnego dnia, gdy tańczyła na sznurze, wszedł do budy młody człowiek, bogaty i znudzony, który przejeżdżając, kazał się zatrzymać woźnicy, wstąpił, zobaczył cygankę i zakochał się szalenie.

W tydzień potem Dolorés mieszkała prześlicznie, miała swój własny powóz, koronki i djamenty.

W pięć lat później Dolorés była sławną w całym Paryżu; ale w Paryżu zapominają prędko; w dwudziestu czterech godzinach można się stać sławnym i równo prędko być zapomnianym.

Pewnego poranka siniora Dolorés, jak ją nazywano, znikła.

Paryż był rozgorączkowany, szukano ją, a potem, nie znalazłszy, zapomniano,

Wyjechała z jakimś bogatym bojarem. Rossja zabrała ją Francji.

Dolorés przeszła potem tyle awantur i historji, że można by z nich ułożyć nowe powiastki z tysiąca i jednej nocy. Była w więzieniu na Kaukazie i Schamyl kochał się w niej; potem w Petersburgu zawróciła głowę pewnemu adjutantowi carskiemu, i przyprawiła go o utratę dwunastu wsi.

Wypędzona przez rodzinę młodego oficera, pojechała do Konstantynopola, zrujnowała Madjara w Odessie, dwóch baszów w Smyrnie, była także w haremie beja sławnego, i uciekła jednej nocy, przepłynąwszy Bosfor.

Okręt, którym płynęła do Francji, był schwycony i zrabowany przez korsarzy, a majątek jej olbrzymi, z rozmaitych źródeł pochodzący, te rubiny i djamenty, które wiozła z Petersburga, Kaukazu, Konstantynopola i Smyrny, stały się łupem rozbójników morskich.

Przyjechała do Marsylji uboga, ale za to piękniejsza jeszcze.

Mieszkała tam przez trzy lata, zbierając powoli złoto stracone.

Aż nareszcie zatęskniła za Paryżem i wróciła tutaj.

Ale pomimo tego awanturniczego życia, Dolorés cyganka nie zapomniała o swoich. Zawsze dowiadywała się o brata, lecz Munito zanadto był dumny, aby przyjąć cokolwiek z jej bogactw, i ciągle trudnił się kuglarstwem.

Każdym razem jak tylko wróciła z dalekiej podróży, jeździła z bratem do Toulonu, odwidzieć biednego cygana Fanfreluche.

Od roku Dolorés mieszkała w Paryżu. Ale człowiek, który teraz był panem jej serca, był hiszpanem dzikim i zazdrośnym, i nie pozwalał jej prawie wychodzić. Dlatego to Paryż, który się dawniej tak nią zachwycał i zajmował, nie wiedział nawet, że Dolorés żyje.

Od miesiąca i Munito bawił w Paryżu.

Brat i siostra zbliżyli się do siebie w interesie wspólnym: aby przeszkodzić pani de Planche-Mibray poślubić Manuela de Maugeville i zainteresować ją losem cygana Fanfreluche.

Munito dostawszy klucz od pana de Villenave, widział się z siostrą jeszcze przed tem, nim poszedł do ogrodu baronowej.

Dolorés prosiła go, cokolwiek bądź się stanie, aby przyszedł jej opowiedzieć.

Munito przyrzekł i właśnie go oczekiwała.

Widząc go wchodzącego, powstała szybko i zapytała z niespokojnością:

— No i cóż tam?

Munito był blady i ponury. Opowiedział jej pokrótce, głosem urywanym i wzruszonym, całą rozmowę z baronową.

Opowiadając o uniesieniu, gniewie i wzruszeniu pani de Planche-Mibray, zupełnie naśladował jej głos, wzrok i ruchy.

Z dzikiem uniesieniem mówił o niej i o jej piękności.

Nagle Dolorés przerwała mu:

— Munito — rzekła — spojrzyj mi w oczy.

— Czego chcesz?

— Przyrzekłeś pomoc panu de Villenave.

— Tak.

— I dotrzymasz słowa?

— Przysiągłem.

— Munito, kłamiesz przed sobą samym!

— Dlaczego?

— Dlatego, ponieważ kobietę, którą nienawidzimy oboje...

— Cóż takiego?

— Ty kochasz teraz!

Munito zakrył twarz rękami.

— Och! milcz — zawołał — milcz!

— Kochasz ją — powtórzyła Dolorés — i nie będziesz pomagał panu de Villenave.

— Przysiągłem.

— Nie dotrzymasz przysięgi.

Drgnął i spojrzał na nią.

— Powiedz mi — rzekła obojętnie cyganka — czego chcemy oboje, a raczej czego chcieliśmy?

— Żeby baronowa zajęła się losem biednego Fanfreluche'a.

— Tak... A potem?

— I żeby nie wyszła zamąż za bratanka człowieka, przez którego ojciec jej dostał się na galery.

— A więc nie wyjdzie za niego, i na tem koniec!

— Ależ... moja przysięga...

Wyprostowała się dumnie a oczy jej zabłysły.

— Czy chcesz, abym cię uwolniła od pana de Villenave? — zapytała.

— Ty?

— Czy chcesz, aby za tydzień zupełnie zapomniał o baronowej, tak jak gdyby nigdy nie istniała?

— I ty byś to zrobić potrafiła?

— Głupcze! — odparła ze śmiechem Dolorés.

I położyła małą swą rękę na ramieniu cygana, a drugą objęła go za szyję.

Potem, po chwili milczenia, dodała:

— Kiedy się masz widzieć z panem de Villenave?

— Jutro.

— Nie pójdziesz.

— Cóż zrobię?

— Nic, już ja to biorę na siebie.

I poszedłszy do drugiego pokoju, siadła przy stoliku i napisała bilet następujący:

„Jeżeli pan de Villenave chce się coś nowego dowiedzieć od Munita, niech się uda na bal opery jutro wieczór, w sobotę. Tam się dowie o reszcie".

Potem włożyła bilet w kopertę, a dając go bratu, rzekła:

— Każesz mu to oddać jutro wieczór.

— A potem?

— A potem będziesz czekał spokojnie... Panie de Villenave, spróbujemy się!

I rzuciła wzrokiem roznamiętnionej tygrysicy, że aż Munito wstrząsł się cały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

V.

Gustaw powracał do domu, jakby upojony. Widział ją... mówił z nią...

O ile jednak pragnął tego, i o ile śmiało przezwyciężał wszystkie przeszkody, ażeby dopiąć zamierzonego celu, o tyle okazał się słabym i zalęknionym w chwili, gdy stanął przed Alicją. Sam jej widok upokarzał go i przygniatał w najwyższym stopniu. Owa scena nocna stanęła jak obraz strasznego widma między nim a Alicją i czuł, jak hańbiący pocałunek, wyciśnięty na twarzy tej nieszczęsnej, palił mu usta i odbierał siłę przezwyciężenia jakiejś dziwnej obawy i wstrętu do siebie samego. Skłonił się, lecz słowa zamierały na ustach.

— Witam jako dobrego znajomego — rzekła Alicja podając mu rękę i wpatrując się weń tem wielkiem a przytem tak łagodnem i smętnem okiem. — Znasz pan moje dzieje — mówiła dalej — a skoro znając je, nie wahałeś się dać wplątać w to smutne koło cierniste, tem tylko większą uczuwam wdzięczność dla pana. Lecz cóż mogą moje słowa podzięki w obec pańskich uczynków!

Gustaw zadrżał... Co ona rozumiała pod słowem „uczynki" pytał się w duchu. Czy ową napaść i pocałunek. O! w takim razie wolałby, żeby mu była wskazała drzwi... wolałby najstraszniejszy jej gniew, rozpacz, byle nie tak delikatny a jednak tak palący wyrzut.

Odpowiedział, lecz nie wiedział sam co.

Alicja jak gdyby dorozumiewała się powodu jego zmięszania, rzekła po chwili:

— Nie każdy młody człowiek postąpił by tak szlachetnie. Poczciwy mój opiekun opowiedział mi wszystko.

Gustaw odetchnął i uczuł niewysłowioną wdzięczność dla zacnego lekarza. Powoli rozmowa stała się żywszą, Alicja wypytywała o kraj i stosunki, a Gustaw pozbywszy się wszelkiej obawy, odpowiadał wesoło i dowcipnie. Gdy w końcu żegnał Alicję, rozstawali się by dawni znajomi, w największej przyjaźni.

— Nie dziwię się teraz memu przewidzeniu — rzekła Alicja do lekarza po odejściu Gustawa. — Przypomina on rzeczywiście jednego z mych dawnych, niestety dziś już nieżyjącego... przyjaciela!... — i kilka grubych łez potoczyło się po jej twarzy.

Odwidziny Gustawa powtarzały się odtąd codziennie. Alicja, która tak pod względem fizycznym jak i moralnym, stawała się silniejszą z każdym dniem, poczęła myśleć i mówić o możliwych sposobach wy-

dobycia się z tego fałszywego i jakkolwiek bądź uciążliwego położenia. Nie była wprawdzie więźniem prawa, ale co może gorzej, dokąd by to prawo nie rozjaśniło całej sprawy, ciężyło na niej posądzenie, iż była zbrodniarką.

— Nie masz pojęcia panie Gustawie, jak to strasznie ciąży takie posądzenie. Cierpiałabym może mniej, gdybym rzeczywiście zawiniła. Bo wtedy wyznałabym mą zbrodnię otwarcie, i oczekiwałabym ze spokojem słusznego sądu. Powiedziałabym: „tak, to ja go zabiłam, zabiłam mszcząc się za doznane obelgi i krzywdy, za wydarte mi i ohydnie zdeptane najświętsze moje uczucia, za... „Ale dzisiaj — mówiła smutnie — cóż mogę powiedzieć — „żem niewinna“... A jednak boję się swego własnego cienia, boję się spoglądnąć przez okno, bo mi się zdaje, że każdy przechodzień, spostrzegłszy mnie, zatrzyma się i wskazując palcem zawoła: „zbrodniarka!“ A jam niewinna!... Panie — dodała żywo — ja muszę rozerwać to koło, panie, radź co mam począć!...

— Cierpliwość jest jedynem na teraz lekarstwem na te twoje pani cierpienia, które pojmuję i współczuję całem sercem. Potrzeba przedewszystkiem czekać odpowiedzi na list do ojca pisany.

— Czekać!... i ciągle czekać!...

— Moje dziecko — wmięszał się lekarz, który był zawsze obecny przy odwidzinach Gustawa, lecz trzymał się na uboczu i najczęściej był niby zajęty czytaniem. — Moje dziecko, nie wątpisz przecie, że na list twój, ojciec albo sam przyjedzie, albo coś zaradzi. Bez niego, cóż możemy uczynić!... Bądź pewna, że pojmuję doskonale, o ile musi być niemiłe przebywanie w moim smutnym domu, dla kobiety z innych krajów i innego świata... lecz...

— Panie — przerwała Alicja z wyrzutem, a zbliżając się i biorąc go za rękę, mówiła z pewną dziecinną kokieterją, naśladując ruchy i surowy ton starca: — Tak to więc przemawia opiekun do biednej Alicji? — i zaraz dodała z czułością: — Mnie by tu miało być źle, u ciebie panie, który mi uratowałeś życie... więcej jak życie... bo...

— Dobrze już, dobrze — przerwał lekarz — nie wielka w tem moja zasługa, bo każdy na mojem miejscu postąpiłby tak samo. Ot, lepiej dziękuj Gustawowi, bo gdyby nie on...

— Ależ panie — przerwał znowu Gustaw. — Złe składaj pan na drugich, ale dobre zachowaj dla siebie. Bo wierzaj mi, w czem, nie wątpię, że i pani mi przyznasz słuszność, iż stokroć jest łatwiej wykręcić się, gdy się coś uczyniło złego, jak przyjmować podziękowania za dobro, którego się nie wyrządziło.

— Czyżbyś pan tego doświadczył? — zagadnęła Alicja najniewinniej w świecie, przyczem uśmiechnęła się, patrząc nań trochę wyzywająco.

— Tak i nie — odparł Gustaw czerwieniąc się.

— A w jakim kierunku? Czy udało się panu wykręcić, spłatawszy coś złego, czy też cierpiałeś straszliwie pod brzemieniem posądzenia, iż spełniłeś jakiś dobry uczynek? — Ostatnie to zdanie wypowiedziała tonem patetycznym, zbliżając się powoli ku Gustawowi.

— Wszak nie dawniej jak kilka dni temu, sama mi pani narzucałaś to brzemię posądzenia o dobry uczynek — odparł Gustaw tym samym tonem.

— Czyż było panu tak ciężkie? — zapytała głosem, który wstrząsł nim jak prąd elektryczny i odbił się echem w jego duszy i sercu.

— Pani! — odparł Gustaw gorąco, zapominając o obecności lekarza. — Gdyby mi wolno było złożyć me życie w ofierze, dla zasłużenia na twoją pochwałę, uczyniłbym to bez wahania.

Alicja jednakowoż nie słyszała tych słów Gustawa. Zaledwie bowiem ostatnie jej wyrazy przebrzmiały, nagle twarz jej zasępiła się, oko zajaśniało złowrogim blaskiem, zaciśnięte usta nabrały szyderczego wyrazu, i podobna zupełnie owej, którą widzieliśmy po raz pierwszy w nocy, Alicja jakby usuwając się przed nachodzącem ją jakiemś widmem, odeszła w głąb pokoju.

Zmiana ta, o ile była raptowna, o tyle przemknęła z błyskawiczną prawie szybkością. Gustaw widział ją jednak i uląkł się jej.

— Chciałam panu pokazać książkę, którą dostarczył mi poczciwy doktor — rzekła, i biorąc takową ze stołu, koło którego stanęła, podała ją zbliżającemu się Gustawowi. Gustaw otworzył i przeczytał głośno tytuł: „Raj utracony“.

VI.

Tym razem powracał Gustaw do domu z ciężkiem sercem. Że kochał Alicję, tego się już nawet przed samym sobą nie wypierał, ani też nie opierał się uczuciu, które wkorzeniało się coraz silniej w całą jego istność. Lecz czy Alicja odwzajemniała tę jego miłość? pytał się ustawicznie... Wczoraj jeszcze odpowiadał: „nie wiem“. Dzisiaj była chwila, w której zapytany byłby zawołał: „kocha mnie!“ Teraz jednak w duszy jego było ciemno, a na białej karcie swego serca, czytał tylko ognistemi zgłoskami wypisane: „Raj utracony“...

— Utracony? — pytał się w duchu. — Nie! — wołało zbolałe serce. — Nie utracony!... leczzamknięty... zamknięty na zawsze!...

Nie będziemy jednak śledzić Gustawa w tych jego walkach i cierpieniach. Noc na nich przeszła, a usnął zaledwie nad ranem, tym snem ciężkim, gorączkowym, chorobliwym.

Zapytamy tu przecież, dlaczego lekarz, który widział dobrze rodzące się coraz silniejsze uczucie w Gustawie, otóż dlaczego lekarz, jako jego najlepszy przyjaciel, nie starał się nawet przerwać tych upajających, ale też i zabijających go odwidzin.

Tem bardziej zaś powinien był to uczynić, wiedząc, iż Alicji serce było zajęte, wprawdzie bez nadziei, ale zawsze zajęte. Odpowiedź na to nasuwa się nam

podwójna: Albo starzec chciał po prostu, by młodzi ludzie się pokochali, albo nie widział, co się działo z Gustawem.

Ponieważ zaś to drugie przypuszczenie jest wręcz niemożebne, pozostaje pierwsze i rzeczywiście prawdziwe.

Stary dziwak wymarzył sobie związek Gustawa z Alicją. Za życie, które jej uratował, chciał w niej znaleźć córkę, i chciał znaleźć istotę, u której miłością bijącej piersi, mógłby złożyć nareszcie swą starą, spracowaną głowę Pokochał Alicję, a miłość jaką chciał rozbudzić w niej ku Gustawowi, miała służyć za ów silny magnes, który jedynie zdołał przytrzymać u niego to z dalekich krajów zabłąkane ptaszę.

— Cały świat ją wyklął, cechując mianem zbrodniarki! — mówił w duchu starzec. — Ja jeden ją przygarnąłem, i do mnie odtąd należy, do mnie i do Gustawa—dodawał zawsze.

Lecz wróćmy do przyszłego męża Alicji.

Wesoły i jasny wiosenny poranek nie przyniósł mu nic po nad smutną dla niego rzeczywistość. Wzburzony, blady, przechadzał się po pokoju, a tylko przez zaciśnięte usta wydobywało się od czasu do czasu ciężkie westchnienie. Po niejakim czasie usiadł znużony i począł machinalnie przyrządzać sobie od kilku godzin czekające nań śniadanie.

— Proszę pana — odezwał się w tej chwili Wicuś wchodząc. — Jakiś jegomość, zdaje się niemowa, przyszedł. Coś mi tam pokazuje na migi, i oto dał tę kartkę do pana.

Gustaw wziął podany mu bilet i przeczytawszy kilka wyrazów na nim nakreślonych, powstał szybko, widocznie wzruszony i rzekł do Wicusia:

— Proś tutaj tego pana.

Za chwilę stanął na progu Jonatan Enders. Dwaj młodzi ludzie spoglądali na siebie z pewnym rodzajem nieufności wzajemnej, a zarazem tym wzrokiem badawczym, który by rad wedrzeć się aż do głębi serca i odczytać najskrytsze jego tajniki. Jonatan był uderzająco podobny do Gustawa, tylko trochę wyższy i każdy rys jego ogorzałej twarzy, znamionował siłę i energię wyrobioną w szkole życia. Trzymał głowę wzniesioną dumnie, a cała postawa zdradzała niczem niezachwianą pewność siebie, i cechującą ludzi już wyrobionych, zimną krew i moc panowania nad namiętnościami.

Niebezpiecznym był przeciwnikiem Jonatan Enders. Uznał to Gustaw i smutne przeczucie zupełnie opanowało zbolałą duszę biednego młodzieńca.

Nic nie mówiąc wskazał krzesło przybyszowi.

Pytać go o nic nie chciał i nie potrzebował, gdyż słowa biletu powiedziały mu wszystko: »Jonatan Enders pragnie się widzieć z panem w sprawie Alicji Stockford« odczytał na karcie. A któż to ten Jonatan Enders? pytał się w duchu. Alicja opowiadała mu szczegółowo o każdym krewnym i znajomym, imienia Jonatana nie wymieniła jednak nigdy!... Jakim więc prawem wdzierał się ten obcy w jej sprawę... jakim?... Odpowiedź wyczytał w postawie Jonatana i zadrżał. Na twarzy obcego odbijał się obraz tych samych walk i uczuć, których widownią było jego własne serce.

Pierwszy odezwał się Jonatan.

— Powiedziano mi — mówił wolno choć z siłą — że Alicja, młoda angielka, posądzona o zabójstwo swego męża, ukrywa się pod pańskim dachem. Przyszedłem zapytać pana czy dobrze mi powiedziano?

Gustaw milczał. Nie wiedział jeszcze, jak się ma zachować, czy być otwartym, czy... Wszak bez jego pomocy ten obcy nie dowiedziałby się nigdy o miejscu ukrycia Alicji. W tej chwili on, Gustaw, był panem sytuacji.

— Pana zapewne dziwi moje zbyt może śmiałe zapytanie — rzekł po chwili anglik tym samym tonem. — Nie dowierzasz mi... jesteś ostrożnym... i masz słuszność. Lecz są rzeczy, o których się nie mówi — a o ile ja wyczytuję z pańskiej twarzy, iż mam do czynienia z człowiekiem honoru, o tyle nie wątpię, iż i moja nie jest typem jakiegoś awanturnika, ale człowieka uczciwego, którego jedynym na teraz celem, jest wyszukanie i uratowanie Alicji Stockford, niewinnej ofiary sojuszu dwóch podłych starców! Czy tych kilka słów nie wystarcza panu? — dodał, wyciągając rękę ku Gustawowi, który porwany jakąś dziwną szczerotą, wiejącą z każdego wyrazu tego człowieka, już chciał uścisnąć podaną mu rękę, gdy wzrok jego utkwił na zdobiącym ją błyszczącym pierścieniu.

— Taki sam kamień świecił na palcu Alicji!—przemknęła myśl lotem błyskawicy, i Gustaw nie przyjął wyciągniętej ku niemu dłoni anglika.

— Pan darujesz — odezwał się zimno — ale choć nie przeczę, iż wymieniona przez pana osoba znalazła u mnie chwilowe schronienie, nie mogę zdradzać przed nikim, teraźniejszego miejsca jej pobytu.

Anglik milczał długo i tylko się wpatrywał badawczo w Gustawa, który choć starał się dotrzymać mu oka, wkrótce zwyciężony opuścił je smutnie i rzekł zmięszany:

— Pan wybaczy moje postępowanie. Nie znam pana... ani jego zamiarów...

— Alicja nie wspomniała więc nigdy przed panem mego imienia? — pytał anglik.

— Nigdy — zawołał Gustaw tryumfująco, pewny, iż tym razem mówił prawdę. Zmiarkowawszy się jednak szybko, dodał niby obojętnie: — Nie wiem zresztą... ta pani zbyt mało ze mną rozmawia i zbyt rzadko ją widuję, ażeby...

— Wiedzieć — dokończył obcy, widząc, że Gustaw urwał i poczerwieniał — ażeby wiedzieć, jakie mnie łączą stosunki z Alicją Stockford!... Masz pan słuszność, poszedłem za daleko i dla tego poprzestanę teraz na małej do pana prośbie, której nie będziesz mógł odmówić pod żadnym pozorem. Zechciej wręczyć ten pierścionek Alicji. Oto moja prośba — dodał, podając Gustawowi pierścień.

— Ależ... — bąknął Gustaw.

— Panie, takiej przysługi nie odmawia się nikomu. Za dwie godzin przyjdę po odpowiedź — rzekł anglik sucho, a kładąc klejnot na stole, skłonił się zimno Gustawowi i wyszedł, zanim ten mógł co odpowiedzieć.

Gustaw chwycił za pierścień. Na wewnętrznej jego stronie wyczytał wyryte litery A. S.

Jakim sposobem znalazł się wkrótce po tem przed drzwiami lekarza, tego nie wiedział. Odtrącił osłupiałą sługę i poszedł wprost do pokoju zajmowanego przez Alicję.

Lekarza nie było w domu. Żeby nie zwracać zbyt uwagi na siebie, oddawał się on już od kilku dni bez różnicy, jak dawniej, swym zwykłym zajęciom. To też Gustawa nikt w drodze nie zatrzymał; przycisnął klamkę i wszedł... Lecz któż zdoła opisać jego zdziwienie, przestrach, gdy pokój zastał pustym. Straszny jęk wydobył się z jego piersi i na pół szalony począł biegać po pokojach szukając Alicji.

Nigdzie jej jednak nie było.

— Gdzieś ją podziała!... — wołał trzesąc wylęknioną staruszką.

— Klnę się na Boga, że nic nie wiem — tłumaczyła się sługa.

W tej chwili nadszedł lekarz wołając:

— Na Boga, co się stało?...

Dowiedziawszy się prawdy, starzec o mało nie stracił przytomności.

— Lecz to nie może być, żeby mnie tak opuściła bez słowa pożegnania, musiała przynajmniej coś napisać — mówił lekarz przyszedłszy do siebie. I obaj z Gustawem przeszukiwali wszystkie kąty, za jakimś śladem zostawionym przez Alicję.

Na biurze lekarza leżał list, jej ręką do niego zaadresowany.

Z gorączkową niecierpliwością odczytał jego krótką treść:

„Zacny opiekunie mój! Dziś nie chcę się nawet tłumaczyć, choć wiem, że postępek mój nie jest godnym Twej dla mnie prawdziwie ojcowskiej dobroci. Proszę tylko Boga, ażeby pozwolił pokierować tak moim losem, bym inna i wśród innych okoliczności, mogła stanąć przed Twojem zacnem obliczem. Nie pytaj i nie szukaj za mną. Bądź jednak pewny, że gdy sprawiedliwość ludzka zetrze z mego czoła, hańbiącą mnie plamę, pierwsza moja myśl wolna od troski, będzie o Tobie, a uścisk Twej szlachetnej dłoni, pierwszym uściskiem czystej już ręki, kochającej Cię miłością córki, Alicji.“

Starzec i młodzian milczeli.

A jednak, gdyby Gustaw był więcej panem siebie i gdyby nie biegł ulicą jak szalony na nic nie patrząc, byłby może spostrzegł jakąś osobę otuloną chustką, i przesuwającą się jak cień ulicą. Byłby może widział jak osoba ta poznawszy go stanęła, zdawała się wahać, zwróciła się nawet kilka kroków, ale potem straciwszy go z oczu, westchnęła ciężko i zniknęła na zakręcie ulicy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Druckoj był zawsze takim, jakim być mu wypadało: swobodnym, zajmującym, nienatrętnym, gotowym do wszelkich przysług, oddawanych z wielkiem uszanowaniem. Jakżeby młoda pani de Sénonnes, mogła była odmówić bratu choć cząstkę tej przyjaźni i zaufania, które w niej siostra tegoż wzbudzała. Na razie niczego więcej nie żądał, powoli jednak, zaczął mówić więcej o sobie, bądź w tonie ironicznym, bądź całkiem na serjo; czasem malował siebie jeszcze w kolorach czarniejszych niż był w istocie, aby skusić chęcią szlachetną, która jak utrzymują, zgubiła niejedną anielicę, ratowania za pomocą miłości, potępieńca z rąk szatanów, to znowu dawał do zrozumienia, ile w nim było porywów wzniosłych, rycerskich, czystych, jak te szlachetne uczucia były zapoznane; podsuwał delikatnie wyznanie, iż mimo fatalnej roli Don Żuana, dotąd właściwie nigdy nie kochał, jednem słowem przywdziewał runo baranka niewinnego, co zwykle czynią wilcy, aby tem łatwiej pożreć ofiarę upatrzoną. Te usiłowania nieśmiałe, niemal rozrzewniające, ze strony człowieka, który raczej jak każdy inny, był przyzwyczajony iść zuchwale podbojem i brać szturmem serca kobiece, szczególniej pewne spojrzenia, rzucane niby bezwiednie, jako dopełnienie słów najobojętniejszych, a pod których ogniem namiętnym rumieniła się Alina mimowolnie, wyrwały ją wkrótce z apatycznej spokojności. Niedoświadczenie i najzupełniejsze, zostawia jednak kobiecie pewien instynkt delikatny w sprawach tyczących się miłości; odgadywała zatem, iż ten Lowelace niebezpieczny, zajął się nią gorąco, choć skrycie, a że i w tem była tylko kobietą, nie tyle się tem oburzyła, ile uczuła zadowolenia wewnętrznego. Można więc było ją pokochać! Rozprószyła się nieufność w samą siebie, która ją tak przygniatała! Dla czegoż Gaston niestety nie widział jej powabów, nie czuł dla niej tego, co bez najmniejszej wątpliwości, zajmuje serce i myśli księcia Druckoj? Bawiło ją, a czyniła to prawie bezwiednie, próbować swojej przewagi na tym ostatnim z rodzajem wyzwania i tryumfu, jak gdyby próba odbywała się na tym, który, mimo iż tyle wobec niej przewinił, jeden ją na świecie całym zajmował. Zachęcał ją w tem, podwajając dowody najwyższego szacunku i rycerskiej usłużności; nie było w tem już teraz ani wyrachowania, ani sideł zastawianych; przestał być o tyle panem siebie, aby z zimną krwią knować takowe; wyobraźnia jego zapalała się coraz namiętniej w tej grze, w tym stosunku niemal codziennym z istotą czarującą, którą był jeszcze godzien ocenić, był godzien pojąć ile w niej było czułości, czystości, wszelkich cnót, zdobiących kobietę. Wiele przymiotów wrodzonych wypaczyło w nim życie Sybaryty, nie spodliło go jednak do tego stopnia, żeby nie miał czcić piękna, żeby stracił wszelkie pra-

gnienie ideału, i nie mógł odgrzebać z popiołów iskry uczucia szczerego, naiwnego niemal, która tli na dnie duszy człowieka i najbardziej popsutego, jeżeli duch ten jest silny i energiczny. Robiło mu to największą przyjemność, iż czuł się jakby odrodzonym, jakby się wracał do lat krótkotrwałej pierwszej miłości i jej ułud roskosznych. Dlatego chętnie sam przedłużał okres zachwytów idealnych, i bał się choćby słówkiem śmielszem zrazić i rozgniewać Alinę. Najmniejsza zapora, cień najlżejszy rywalizacji, byłyby wywołały wybuch namiętności, która ukrywała się zdradliwie pod pozornym spokojem i nieczułością apatyczną. Był atoli jedynym młodym mężczyzną, który miał przystęp do Aliny i odbierał od niej liczne dowody przychylności, które głupiec w sobie zakochany, mógłby tłumaczyć zupełnie inaczej. On atoli był rozumnym i mimo tylu łatwych zwycięztw nie był zarozumiałym, tak samo jak kobieta prawdziwie piękna, nie będzie kokietą, ale był przekonany o swojej wartości i... czekał, a czekał z rodzajem przerażenia, iż będzie musiał ściągnąć z piedestalu to bóstwo czyste i nieskalane, aby — powtarzał to sobie po sto razy — w końcu do niego należało. Podobne sprzeczności cechują miłość wielką i prawdziwą, a z takiem uczuciem przed nikim się nie zwierzamy. To też książe nawet siostrze o tem nie mówił, raz tylko z chytrością czystej krwi Rosjanina, nadmienił, aby ją przekonać o czystości swoich zamiarów i uspić w niej zbytnią czujność i mogące się w niej zrodzić skrupuły:

— Jaka szkoda, że tutaj nasze prawa nie panują. Francja pod tym względem — chociaż nas tak nazywa — jest prawdziwie barbarzyńską. Nasz rozwód, uwalniający stronę obrażoną, a zostawiający węzły nierozerwalne winnemu, zdaje mi się lekarstwem jedynem, najsprawiedliwszem. Pani de Sénonnes, dziś uwolniona, jutro znalazłaby męża odpowiedniego, a to wielkie nieszczęście, nad którem tyle łez wylałyście, wydałoby się jej samej snem niemiłym, i niczem więcej w dalszem życiu, które zaledwie się rozpoczęło. Stokroć byłby ten szczęśliwym, który dałby jej o tem zapomnieć.

— Może byś i ty się podał na kandydata, zakamieniały w celibacie kawalerze? — roześmiała się hrabina, a jej wzrok badawczy zdradzał pewne podejrzenie.

— Dlaczego nie! — książę odpowiedział na siostry spojrzenie rzutem oka jak ostrze stali zimnym i przenikającym, które od razu mięszało szyki i badanie przerywało. — Spodziewam się, iż zapomniałaś o żartach niestosownych, których sobie pozwoliłem nie znając jej wcale. Jest ona jedną z tych kobiet, których kochankiem zostać niepodobna, gdyż potrafią natchnąć szacunkiem i uwielbieniem nawet i najgorszego w świecie libertyna.

Mówił szczerze. Takie wyrobił sobie o Alinie wyobrażenie... jednak z niektóremi zastrzeżeniami...

— Wielce mnie uszczęśliwia to twoje przekonanie — hrabina rzuciła się bratu na szyję. — Wielce! wielce! Nie zbłądziłam zatem wierząc w ciebie, mimo wszystkiego!

Uśmiechnął się całując ją nawzajem. Odgadł więc trafnie, iż potrzebowała nabrać otuchy, i uspokoić budzące się w niej skrupuły.

Nie pomylił się atoli tak bardzo i Alberyk, gdy z brutalnością cynika, przewidywał najgorsze i przestrzegał Gastona przed grożącem niebezpieczeństwem,

XII.

Minęło dni kilka od owego ranka, w którym Gaston znalazł się tak niespodziewanie naprzeciw żony, czego ona bynajmniej się nie domyślała, gdy mama de Sénonnes weszła nagle do saloniku chińskiego hrabiny Olgi, w godzinie, kiedy zwykła była krążyć po lasku bulońskim.

Salonik tym razem wyglądał zupełnie inaczej, co należało do rzadkich wyjątków. Miał pozór ścisłego kółka rodzinnego. Olga pod oknem w krosnach haftowała, Alina dumała w fotelu przed kominkiem, ze spuszczoną powieką, z główką spartą na jednej ręce, podczas gdy drugą bawiła się machinalnie nożykiem z perłowej macicy, do kartek rozcinania, książe Druckoj zaś czytał głośno. Między innymi talentami posiadał i dar pięknego czytania. Lekki akcent cudzoziemski, odznaczający się szczególniej w wymawianiu czystem i donośnem litery „*r*“, wywierał tak dziwny wpływ na słuchaczach, iż im się zdawało, że wymawia lepiej i przyjemniej wyrazy francuskie, niż sami Francuzi. Wszyscy zerwali się na widok wchodzącej, z miną wielce znudzoną. Gdyby była mniej wzruszona, byłaby zauważyła, iż wpadła tu najniepotrzebniej, i jest tylko zawadą. Tak jednak zdawała się czemś nadzwyczajnem przejętą, że na nic uwagi nie zwracała. Nawet jej fizjonomja, zwykle jak powierzchnia cichego jeziora, spokojna i niczem nie zamącona, wyrażała dziwne wzburzenie i pomięszanie.

— Powiedziano mi w przedpokoju, że nikogo nie przyjmujesz, kochana Olgo; to mnię do wejścia zdecydowało. Spodziewałam cię zastać samą, i otrzymać przebaczenie, iż zakaz przestąpiłam.

— Nie mógł nigdy zakaz drogą cioteczkę obejmować — odpowiedziała hrabina z słodyczą ujmującą, w duchu jednak pomyślała, iż wyłaje służbę porządnie, za taką nieudolność w spełnianiu jej rozkazów. — Istotnie zamykam drzwi moje od czasu do czasu. Zyskujemy na tem, że nam Aleksander czyta Puszkina, w wybornem tłumaczeniu francuskiem, które wyszukał umyślnie dla Aliny. Cioteczka zna zapewne nie wiele z naszego wielkiego poety?

Pani de Sénonnes potrząsła głową, w sposób dający nie dwuznacznie do zrozumienia, że wprawdzie nie zna wcale tych piękności, jest to atoli dla niej rzeczą zupełnie obojętną.

— Ręczę, że cioteczka nie pożałuje, jeżeli usiądzie... ot tak... obok Alinki... proszę poczekać... wsunę pod nóżki poduszeczkę... i posłucha kilku kartek z „Bo-

rysa Godunowa“ lub „Eugeniusza Oneżyna“. Czytaj dalej Szaszo, ciocia słucha... Ale cóż to się stało cioteczce? — wypatrzyła się na nią pani de Vesore zaniepokojona i zdziwiona. — Oczy wyglądają jakby zapłakane?

Zamiast odpowiedzi, mama de Sénonnes zakryła twarz chusteczką batystową, i wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ciociu, cioteczko, na miły Bóg! Co to się znaczy? — Olga rzuciła się ku niej i przyklęknęła obok fotelu, na który upadła, głaszcząc i ściskając jej ręce pieszczotliwie.

Alina zbliżyła się również, książę zaś, położywszy na stole cichutko książkę, którą trzymał w ręku, wziął za kapelusz, aby się wynieść niepostrzeżenie.

— Nie uciekaj drogi książę!... czyż nie należysz prawie do naszej rodziny? — mama de Sénonnes mimo łez, schwyciła go na gorącym uczynku dezercji. — Zostań, błagam! To, co mnie do rozpaczy doprowadza, nie jest niestety tajemnicą, i cały świat wie, co o tem myśleć. Powinnam była z tem się oswoić, i umieć lepiej nad sobą panować — łkanie konwulsyjne głos jej na chwilę stłumiło — pomyślcie jednak... rok przeszło z nim się nie widziałam... Mój biedny Gaston, moje biedne, jedyne dziecię...

Książe wyciągnął ramię, aby podtrzymać Alinę, która zachwiała się blada jak płótno. Pomoc okazała się jednak niepotrzebną; wyprostowała się o własnej sile, zawstydzona słabością okazaną.

— Przebacz kochana Alinko! Nie powinnam może nazywać go w twojej obecności, ale to nad moje siły! Serce mi pęka!... Co za dzień!... Niemożność mówienia o nim z ojcem, który jest niewzruszony!... rozumiesz? Nieubłagany! Ta cała tajemnica do szaleństwa mnie przywodzi! Cóż chcesz! jestem matką i nie mogłam odmówić jego prośbie tak czułej, tak pokornej!

— Jest więc tutaj? — rzuciła Alina tonem ostrym.

Wzrok księcia pytający obejmował ją niby błyskawicami, co ją niesłychanie mięszało i żenowało.

— W przejeździe tylko! Oh! nie długo zabawi.

Staruszka oparła się o fotel, drżąc na całem ciele, jak dziecię rozszlochane.

— Na miły Bóg! uspokój się cioteczko! — błagała Olga głosikiem najczulszym, chociaż w gruncie była w najwyższym stopniu oburzona takim brakiem taktu. Czy godziło się wystąpić z czemś podobnem przed Aliną?! Nie zdziwiła się atoli tak bardzo, gdyż od dawna już wydała o ciotce swojego męża sąd trafny, choć nader złośliwy:

— Ma powagę majestatyczną indora, gdy się puszy, a i rozumu tyleż właśnie!

— Jakże się mogę uspokoić... kiedy... kiedy... Oh! co za dzień! Co za fatalność! jaka mnogość wzruszeń gwałtownych! — powtarzała łkając w najlepsze hrabina.

Nagle, bez powodu, uspokoiła się zupełnie, a rzuciwszy okiem w duże zwierciadło, naprzeciw wiszące, zrobiła minkę tak naiwnie zakłopotaną, że Olga o mało śmiechem nie parsknęła.

— Ależ wyglądam istotnie jak straszydło!

To odkrycie tak ją zmięszało, iż nawet przerwała się kryzys, której przed chwilą oddawała się z taką gorliwością. Zaczęła poprawiać włosy przyprawne, które były się cokolwiek nad czołem skrzywiły, i przewiązała inaczej wstążki u kapelusza. Wreszcie odezwała się innym wcale tonem:

— Miałam tedy schadzkę w tajemnicy przed mężem, schadzkę z moim synem!... Od wczoraj umierałam! i o mało sto razy nie zdradziłam się sama! Koniec końców, widzieliśmy się, wszystkie jednak wymówki, z któremi się przygotowałam, uwięzły mi w gardle. Okazał się tak czułym, żałującym, tak smutnym!... oh! smutnym śmiertelnie!... Wyobraźcie sobie, że chce się jeszcze więcej oddalić. Wspomniał coś o Ameryce, aby, jak powiada, odciąć na zawsze liny, wiążące łódkę jego życia z przeszłością. Czyż to nie straszne, nie okropne przedsięwzięcie!? O! moja najlepsza Alinko! — hrabina rzuciła się do synowej z żywością, nie licującą bynajmniej z jej zwykłą flegmą i powagą napuszoną. — O! moje dziecię najdroższe! Ty jedna — czuję to głęboko — ty jedna mogłabyś go zatrzymać, gdybyś chciała, ty jedna mogłabyś nas wszystkich uratować!

— Pani! — szepnęła Alina głosem gasnącym, o krok się cofając.

— Oh! gdybym była na twojem miejscu! — hrabina brnęła dalej uniesiona wzruszeniem. — Gdybym była kobietą szlachetną, zdolną do poświęceń, kobietą w całem tego słowa znaczeniu — że jesteś taką nie wątpię ani chwili — wiedziałabym co zrobić, aby oddać tego nieszczęśliwego rodzinie, społeczeństwu i aby wrócić mu należne w świecie stanowisko, i wszystko, czego mu zresztą brakuje, za czem tęskni, oh! tęskni okropnie!... Zapomniałabym o krzywdach wyrządzonych, i postarała bym się o radykalne wyleczenie biednego szaleńca. Jest znużony, wierz mi... tą.. tem... co go z tobą rozłączyło... czyż byłby tak znękanym? Czy miałby czoło tak troską wewnętrzną zorane? Czy byłby się tak zmienił, zestarzał! o jakie lat kilkanaście!... Mówię ci, jest tem wszystkiem na śmierć zmordowany!...

— Pani! — Alina wzburzona gwałtownie, uwolniła gwałtownie ręce z przytrzymujących ją kurczowo dłoni pani de Sénonnes — żałuję cię szczerze, i Bóg widzi, jak bym rada znaleść dla serca twojego pociechę, tego jednak czego żądasz odemnie wcale pojąć nie mogę. Jeżeli to pan de Senonnés polecił zbadanie uczuć moich...

— Nic mnie nie polecił! — hrabina szybko jej wpadła w słowo, gdyż jak zawsze nie domyślna, widziała tylko w uniesieniu Aliny, gniew na zbytnią śmiałość jej syna, i chciała czemprędzej uniewinnić go z tego zarzutu, tymczasam pod pokrywką oburzenia Aliny, oddajmy hołd prawdzie, ukrywała się nadzieja zwodnicza... nadzieja, która miała rozwiać się natychmiast! — Nie odebrałam żadnego polecenia, nawet twoje imie

nie było wymówione, byliśmy wyłącznie sobą zajęci, i tem nieszczęsnem wygnaniem! Ja tę myśl powzięłam... Przebacz matce bolejącej!... — uderzyła mnie ona jak błyskawica rozdzierająca nagle ciemności, że mógłbyś pozyskać, zdobyć na nowo męża twojego i stać się aniołem opiekuńczym nas wszystkich. Przebaczać, czyż to nie jest dla nas kobiet zadaniem najwznioślejszem? Gdyby mógł w twoje przebaczenie uwierzyć, upamiętał by się niezawodnie, naprawił by wszystko.. trzeba tylko najlżejszej zachęty z twojej strony. Kogoż by nie skusił czyn tak piękny, za który sam Bóg by cię błogosławił, noszący zresztą nagrodę w sobie samym.. i łatwy do wykonania, bardzo łatwy!...

— Im byłby łatwiejszym do przeprowadzenia, tem mniej miałabym do niego ochoty — odrzuciła Alina wyniośle. — Dziwi mię... pozwól to pani sobie powiedzieć, iż trzeba tłumaczyć coś podobnego.

Z jedną ręką opartą o marmur kominka, aby nie stracić równowagi, z głową trochę wstecz podaną i dumnie podniesioną, z okiem rozpłomienionem, z twarzą szkarłatem oblaną, cała drżąca gniewem i oburzeniem najwyższem, wydała się księciu piękniejszą niż kiedykolwiek.

— Jeżeliby pan de Senonnés — mówiła dalej po krótkiem milczeniu — był gotów, jak pani utrzymujesz, zapomnieć o ostatniej powinności, która mu została, tem gorzej dla niego. W ten sposób działając, straciłby i ten cień szacunku, który mu dotąd bądź jak bądź oddawano. Dowiódłby, iż nie potrafi być wiernym nikomu i niczemu, nawet popełnionemu dobrowolnie błędowi, którego następstwa, duch silny i niezłomny, umiałby przynajniej znosić odważnie. Mylisz się pani zapewne w swoich przypuszczeniach, miejmy nadzieję, iż jest konsekwentniejszy w obec siebie samego. W czem że to jednak mnie może obchodzić? Są pewne zniewagi, które nie dadzą się niczem odkupić, niczem wymazać z pamięci, których nie można odpokutować. To właśnie zaszło między nami. Rozdziela nas otchłań, którą stworzył sam pan de Sénonnes, a która się nie da niczem i nigdy zapełnić! — podniosła głos, mówiąc z coraz wzrastającą gwałtownością, w miarę jak czuła się w gniewie słabnącą. — Co mnie wzrusza istotnie, to pani boleść, i gdybym wiedziała, że oddalając się, mogę ją zmniejszyć, ułatwić między panią a tym, o którym mówimy, jakiekolwiek zbliżenie, czemu może obecność moja przeszkadza, wyrzekłabym się w tej chwili i nie nadużywała gościnności państwa, ofiarowanej mi tak szlachetnie.

— Niestety! Nie o tem mowa! — wykrzyknęła rozpaczliwie pani de Senonnés. — Czyż ojciec rodzony, czyż świat cały, tak samo jak ty nie odwrócił się od niego? Nie, nie, nie mam już syna! — załamała ręce tragicznie. — Przepraszam, nikt mnie zrozumieć nie potrafi, a ja o tem na chwilę zapomniałam... najmocniej przepraszam...

— Rozumiem wszystko pani... i wszystko przebaczam, ale słuchać dłużej jej nie mogę... Daruje pani... muszę się oddalić — i krokiem chwiejnym wyszła Alina do pokoju obok, gdzie była Olgi sypialnia.

— Cioteczka pozwoli mi pójść za nią? — Olga spojrzała niespokojna za odchodzącą. Uderzyła ją nagła zmiana w rysach Aliny, po nadludzkiem wysileniu, aby spokojną na pozór pozostać. — Sasza ciocię odprowadzi, nieprawdaż?

Książe podał ramię pani de Senonnés, zapewniając uroczyście, iż nic w świecie nie może mu być przyjemniejszem. Czuł się szczęśliwym, szczęśliwym nad wszelkie pojęcie! Fizjonomja jego atoli nic z tych uczuć nie zdradzała. Na ustach igrał uśmiech zdawkowy, obojętny, którym ogół obdarzał. W oczach na pół przymkniętych, malował się wyraz ironiczny, odbicie wierne zwykłego stanu jego duszy, na zewnątrz przynajmniej.

— Ah! kochany książe! — westchnęła pani de Sénonnés, uszczęśliwiona jego rycerską galanterją, nawet w obec kobiet niemłodych, i pewną metodą w całowaniu ręki mu podanej, czemu (jak stale utrzymywała) oprzeć by się żadna z kobiet nie potrafiła. — Ah! drogi książe! inaczej to się działo za moich lat młodych! Byłyśmy czulsze, słabsze, skłonniejsze do owych serca porywów, które czasem za daleko nas zawiodą, więcej jednak warte, niż brak zupełny i oschłość serca. Czyż mam słuszność?

— Niezawodnie! — odparł Druckoj z uśmiechem nadto roskosznym i bynajmniej nie licującym z chwilą obecną.

Nic więc ich zbliżyć nie może, nic nie zdoła zapełnić przepaści która ich dzieli!... Wszak sama to wypowiedziała!... a z jaką energją, z jakim ogniem niezwykłym u osoby tak spokojnej, tak niewzruszonej w swojej łagodności! Te kontrasty zachwycały go. Jak ona kochać potrafi, gdy raz ukocha!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka.

Jakoś ten rok nowy, przynajmniej pod względem zimna, wziął się do nas ostro. Jeżeli będzie konsekwentnym i we wszystkiem tę maksymę zastosuje, można mu będzie palnąć lepszy nekrolog jak jego poprzednikowi, co nawet wszyscy życzymy mu szczerze. Koniec końców zwolennicy i zwolenniczki sportu łyżwowego doczekali się swych godów. W dzień „Trzech króli“ urządzili okropny wulkan na lodzie, który sypał iskry na okół, jak oczy pięknych sportsmenek, buchał płomieniem jak serca zgrabnych sportsmenów i płonął różowo jak nadzieje licznych mam i ciotek, z wywyższonego swego stanowiska spoglądających z powagą na popisujących się przed tym areopagiem w karkołomnych ewolucjach pseudolwów pseudo-stolicy.

Jużto sport ten ma tyle swych stron dodatnich, że nie darmo liczy tylu zwolenników płci obojej. Na czas trwania jego Kupido obiera sobie stałą siedzibę na stawku „na Szumanówce“ i nie dziwię się, iż biedak nie zmarznie, bo tyle ma tam do roboty, tak się musi nabiegać, że przy trzydziesto-stopniowym mrozie, jeszcze się spoci jak na wyścigach.

Warto też rzeczywiście pójść tam od czasu do czasu i zająwszy pozycję na środku stawu, okiem Satyra przyglądać się przelatującym parom. Patrzcie, oto podlotek, dziewczę zaledwie czternastoletnie, rączka w rączkę z młodzieńcem nie wiele starszym od niej, właśnie w wolnem tempie płynie koło mnie. On nachylony ku niej, szepce coś z cicha, ona trzyma oczka utwione w powierzchnię lodu... w tem on nachylił się jeszcze bardziej, szepnął coś jeszcze ciszej, dziewczę spłonęło róży krasą i podnosząc oczy na niego, obrzuciło go takim wzrokiem, że myślałem, iż spłonie w ogniu tych czarownych źrenic, że lód cały roztopi się od tego spojrzenia... Lecz ani lód się nie roztopił, ani on nie spłonął w tym ogniu, tylko spojrzał na okół z tryumfem i popędzili dalej.

Straciwszy ich z oczu, zwróciłem się w inną stronę, nucąc półgłosem:

O oczko me, elewko bon,
Twa mama hen, a blisko on!

gdy mi inna para wpadła w oko. Że i ta była ku sobie nachylona, nie potrzebuję dodawać, ta tylko między pierwszą a drugą zachodziła różnica, że tu była kobieta i... kapitan. Za niemi z powagą toczyła się samotna, pulchna jejmość, jak sapiąca lokomotywa, tocząca się na szynach czy łyżwach żelaznych. W tem kapitan jak i jego poprzednik nachylił się jeszcze bardziej, szepnął coś jeszcze ciszej, i ona podniosła wzrok czuły na niego, w tem... bums! piękna pani runęła jak długa na lód, zatrzepotała nóżkami jak ptaszek skrzydełkami w powietrzu, kapitan zajął miejsce obok, a pulchna pani z przerażenia usiadła jak pączek na lodzie, który pod nią aż głucho jęknął.

Zwróciłem się znów w inną stronę, i widziałem tylko, jak Kupido popędził dalej i usiadł na ramionach pięknej dziewicy, „holendrującej“ z jakimś młodzieńcem z zgrabnością sylfidy, jeżeli sylfidy w ogóle umiały „holendrować.“ Para ta przemknęła w wdzięcznych lansadach jak wicher koło mnie, i widziałem dopiero w godzinę, jak Kupido wyjmował swą strzałę z serca zranionego młodzieńca, a stało to się po rozmowie z przyjacielem, który znał dobrze tabulę panny.

I para za parą przesuwa się ciągle, gorące spojrzenia krzyżują się w powietrzu, topiąc aż powierzchnię lodu, który zimny spogląda na te obrazy, przesuwające się jak w kalejdoskopie, od czasu do czasu wydając tylko cichsze lub głośniejsze westchnienie, zależne od objętości karambolujących.

I właśnie gdy miałem nową parkę na oku, usłyszałem srebrny głosik za sobą:

— A! to pan, panie Kwik-kwak? Fe, jak można tym zwykłym wzrokiem Satyra kontrolować wszystkie pary! Czy to się godzi?

— Słusznie! przyznaję pani najzupełniejszą rację! A więc Kupido, przybywaj! — odrzuciłem z uśmiechem, a podając rękę nadobnej sportsmence do wspólnego „holendra“, zanuciłem półgłosem:

O oczko me, o gwiazdko ma,
Daleko mąż, a blisko ja!

No, ale dajmy temu pokój, i jak zwykle zaglądnijmy jeszcze do teatru. Otóż mamy znowu nową 4 aktową operetkę Offenbacha: „Córka Tambor-majora.“ Operetka ta zawiodła jakoś pokładane w niej nadzieje. Jużto obecna dyrekcja nie ma widocznie szczęścia, bo ze wszystkiem jej się nie wiedzie. Nie chcę szeroko krytykować tej sztuki, z obawy, byście nie wzięli mnie za Zoila, krytykującego po kolei wszystkie nowe sztuki i dlatego radzę Wam najlepiej pójść do teatru i własny sąd o niej wydać, gdyż ostatecznie nic na tem nie stracicie, a operetkę Offenbacha zawsze poznać warto.

Na zakończenie jeszcze wspomnieć muszę o szczęśliwym pomyśle nowej dyrekcji, mianowicie o otworzeniu szkoły spiewu operowego, która wielce może się przysłużyć naszej scenie, wykształcając liczny zastęp sił drugo i trzeciorzędnych, które są ważną podporą każdej opery.

Kwik-kwak.

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

Pogrzeb Leona Gambetty. Paryż dnia 6. stycznia. Już od pierwszego brzasku dnia pokryły się ulice Paryża olbrzymiemi flagami żałobnemi. Deputacje poczęły nadciągać zewsząd ku placowi burbońskiemu. Wojska zajęły stanowiska. Posąg Strassburga owinięty czarną draperją. Sześciu pikierów w paradnych mundurach poprzedza sześciokonny karawan. Trumna pokryta czarnym aksamitem, wiązana trójbarwnymi sztandarami i uwieńczona girlandami z palm i nieśmiertelników. Chorągwie pułków osłonięte krepą. O godzinie 10 z rana ozwały się działa w fortach paryskich na znak wyruszenia żałobnego pochodu. Trumna wraz katafalkiem wniesioną została ma karawan. Trąby i rogi dały sygnał. Wojska sprezentowały broń. Przed karawanem jechało kilka okazałych rydwanów, obciążonych górami wieńców i bukietów. Powszechną uwagę zwracają na siebie jenerał Gallifet i Clemenceau. O południu pochód stanął na bulwarze sebastopolskim. Widok, jaki się tu otworzył, nie da się opisać: nieprzejrzane okiem masy posuwają się zbitą falą głów. Nie widać początku, ani końca. Paryż nie zapisał dotąd w rocznikach swoich takiego faktu. Cała ludność blisko trzymiljonowego miasta płynie za trumną wielkiego patrjoty, niesiona jednym porywem uczucia żałoby. Reszta ulic opustoszała, jakby wymarła. Po nad dwoma miljonami głów, wznosi się w powietrzu nieustanny, grzmiący okrzyk: „Niech żyje Francja! Niech żyje rzeczpospolita! Niech żyją Alzacja i Lotaryngja!“ O godzinie w pół do drugiej czoło orszaku pogrzebowego stanęło u bram cmentarza Pére Lachaise. Trumnę zniesiono z karawanu. Misister Dévès przemówił imieniem rządu. Pozdrawia on szczątki śmiertelne wielkiego patrjoty, który uległ przedwcześnie śmierci, ale zostawił Francję wolną i szczęśliwą. Strata wielkiego obywatela jest narodową żałobą. Kochał on i bronił ojczyznę namiętnie, ufał w jej przeznaczenie, dążył do jej wielkości. Był to patrjotyzm wielkiego stylu, połączony z jasnem zrozumieniem woli kraju. Za jego sprawą Francja jest panią swoich losów: porządek republikański na wewnątrz, godność i spokój na zewnątrz, to jego zasługa i chwała żywota. Chauffour przemawia w imieniu stowarzyszeń alzacko-lotaryngskich w Paryżu. W strasznej epoce wojny był Gambetta duszą i sercem ojczyzny; przed zgromadzeniem narodowem w Bordeaux był tłumaczem naszej niedoli, później nadzieją. Serce jego biło samą miłością dla Alzacji i Lotaryngji; duch jego zagasł, ale dzieło żyje i nie pójdzie na marne. Nie łzy i słowa rozpaczy winniśmy zlewać mu na mogiłę. Wielki patrjota umarł, ale Francja żyje silna, pełna żądzy czynu, chlubnych przeznaczeń. Prezydent izby adwokatów rzekł: Cześć, którą oddajemy Gambecie, należy się tysiącom, które na jego hasło „walki za kraj“ zginęły. W Gambecie czcimy naród i to wszystko, co w nim jest najwznioślejszego...

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt „Różowego domina.“

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.